

Nikt nie chce mówić o Europie

Kampania przed wyborami do parlamentu europejskiego tradycyjnie jest w Polsce bardzo zaściankowa. Właściwie wszędzie w Unii wygląda to podobnie. Walczące o mandaty ugrupowania mówią o wszystkim, tylko nie o Europie. W wykonaniu polskich liberałów wszelkich odmian deklaracje miłości do Europy są typowym głosem zakompleksionego prowincjusza, który najbardziej marzy o tym, żeby w rodzinnej miejscowości brano go za kogoś ze stolicy. Takie podejście jest równie szkodliwe jak niemniej prowincjonalny dyskurs PiS o zgniłej Europie, która chce zniszczyć duszę i niepodległość narodu.

Największe partie traktują te wybory za ledwie jako test przed najważniejszą dla nich elekcją parlamentarną we wrześniu. Jest w tym sporo winy architektów Unii, ale jest też ogromna doza politycznego defetyzmu i podświadomej akceptacji nacjonalistycznej wizji polityki. Podstawowy problem z parlamentem europejskim polega na tym, że jest on instytucją fasadową ponieważ w UE nie obowiązuje trójpodział władz. Pozbawiony inicjatywy ustawodawczej Parlament stanowi jedynie miejsce głosowania projektów legislacyjnych wychodzących z Komisji Europejskiej i niewiążących dyskusji. Ten niedemokratyczny system nie budzi entuzjazmu obywateli i obywaterek krajów Unii. Nie ma się im co dziwić. Dziwić się jednak trzeba rzekomo proeuropejskim ugrupowaniom godzącym się z taką sytuacją, mimo powszechnej świadomości, że jest ona jednym z powodów obecnego kryzysu UE i fali ruchów skrajnie prawicowych.

W obliczu kryzysu strefy euro, Brexitu oraz prób rozmontowania Unii podejmowanych przez nacjonalistów, a także Trumpa i Putina, podstawowym wysiłkiem jaki należy zrobić jest wreszcie uświadomić sobie, że Europa nie stanowi już kwestii polityki zagranicznej. Nie da się dłużej rozdzielać polityki krajowej i unijnej. Skoro mamy europejski rynek i kapitalizm, musimy mieć suwerenne europejskie społeczeństwo.

Nie ma się co łudzić, w ciągu minionych 200 lat klasom ludowym na starym kontynencie udało się wywalczyć instytucjonalne mechanizmy demokracji tylko w granicach państw narodowych. W przestrzeni międzynarodowej króluje dyktatura państwa i kapitału, czego Unia Europejska jest znakomitym przykładem. Ale też nie ma co ulegać fatalistycznemu złudzeniu, że transnarodowa demokracja nie będzie możliwa w nieodległej przyszłości. Oczywiście łatwo nie będzie, bo takiej

wizji nie sprzyja nie tylko nacjonalizm, ale też konstrukcja europejska w obecnym kształcie. Zgodnie z literą i duchem traktatów, podmiotem integracji są państwa narodowe i fakt ten stanowi główną przyczynę strukturalnej niemożności realnej integracji w Europie. Nie zmieni tego żaden federalizm, bo przecież także i on pozostawia suwerenność demokratyczną w granicach państw, zamykając europejski lud w gettach narodowej niemocy. System unii państw ruguje z instytucji unijnych wszelką politykę i poddaje je technokratycznej logice skuteczności ekonomicznej zredukowanej do skuteczności finansowej. Konfrontacja Grecji z Trojką w 2015 r. dobrze ilustruje skutki tej sytuacji.

Jeżeli chcemy zreformować owe instytucje czyniąc je narzędziami demokratycznego samostanowienia Europejczyków i Europejki, to musimy przenieść suwerenność z państw na obywateli. O tym, że jest to możliwe, świadczą nie tylko głosy intelektualistek takich jak Ulrike Guerot, ale także rozwój municypalizmu międzynarodowego - ruchu, który znajduje zakorzenienie dla nowych form demokracji w samorządach miejskich, a zarazem szuka dla nich poziomu systemowego w projektowanej sieci Fearless Cities - miejskiej międzynarodówki ponad granicami.

Oczywiście ten projekt zmiany ustroju politycznego i administracyjnej mapy Europy musi się wypełnić społeczną treścią. Jej kluczowe elementy od lat krążą w programach lewicy (na lewo od socjaldemokracji). Wśród tych pomysłów najważniejsze są Europejski Kodeks Pracy i europejska płaca minimalna, europejski system fiskalny i zabezpieczenia społecznego, europejska służba zdrowia i europejski system układów zbiorowych pracy, położenie kresu wewnątrzunijnemu dumpingowi socjalnemu i rajom podatkowym, budowa systemu recyklingu nadwyżek eksportowych i nowego modelu walutowego, który zerwie z, opartą na systemie konkurujących gospodarek narodowych, strefą euro. Warunkiem realizacji takiego projektu jest zwiększenie budżetu UE z 1% jej PKB, jak to jest obecnie, do co najmniej 3%. W ciągu minionej dekady wielkie banki i korporacje otrzymały od państw i EBC grube biliony euro pomocy. W zamian powinno się je obciążyć kosztami sfinansowania nowego unijnego budżetu.

Można się oczywiście zżymać, że wszystko to mrzonki i utopie, na dodatek niebezpieczne. Zadowoleni z obecnego stanu rzeczy zawsze jednak znajdą wytłumaczenie dla obrony panującego systemu. Z tej perspektywy nigdy nie będzie dobrego momentu na realizację realnej zmiany, bo zawsze będzie jakiś „PiS, który trzeba odsunąć”. I właśnie dlatego nie powinniśmy się poddawać tej

pseudopragmatycznej logice. Bez wizji Demokratycznej Europy Obywateli i działań na rzecz jej urzeczywistnienia, już zawsze będziemy żyć cieniu kolejnych inkarnacji populistycznego straszaka.